WYJĄTKI

Z MOICH

P O E Z Y J.

WYJĄTKI

Z MOICH

POEZYJ.

NAPISAŁ

Jan Kontrymowicz.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,

przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.

1855.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie dnia 25 Listopada (7 Grudnia) 1854 roku.

SONETY.

I.

„Oto są grzechy mojego żywota."

Jeślim gonił motyle w lat moich rozkwicie,
Lub na hyżym biegunie zbiegał Siucic błonie;
Albo, ze strzelbą w ręku, wyszedłem o świcie,
I odżyłem naturą—łzę cichą uronie.—

I westchnąłem—i czemuż czułem serca bicie?
Tak silne, a bolesne; oko we łzach tonie;—
Chciałem się wzbić wysoko: gdzieś na niebios szczycie
Spotkać Ciebie! i spocząć chwilę przy twém łonie.—

I myśl moja, bujała po niebios sklepieniu
I lekkie jak dech róży, dziewy z nią krążyły.
Na boku pod cyprysem, jedna stała w cieniu,
A dwa jéj modre oczy, wszystkie inne ćmiły;
A ja Ciebie poznałem w tém Bozkiém spojrzeniu,
I w tych czarnych warkoczach, co twą kibić kryły.—

II.

„Patrzcie, ach patrzcie co za piękna kroczy,
Jak noc gwiazdzista bez chmur i obłoku."

Alino! zanurz oko w przeszłość co zleciała,
Kiedy szesnasta wiosna, twe lica rozwiła,
Na ustach igrał uśmiech, w oczach miłość tlała
Ach wtedy twoja dusza, w mojej się odbiła.

Wtedy w piersi niebiańska piosnka zadzwięczała,
I raj czarownych marzeń, w przyszłości zrodziła;
A przyszłość! bez litości, marzenia rozwiała,
Tylko w piersi, głęboko, boleść zostawiła.

I w snach mych młodzieńczych widziałem Aline
I serce tak silnie mi biło.
Myślałem, że przecie, już żagla nie zwine
Że przecie do portu dopłyne.—
Lecz morze o skały mój okręt rozbiło,
I w bezdnią przepaści rzuciło.—

III.

DO

A. P.

—

Twe oczy to niebo—Twój uśmiech zbawienie,
A głos, to tchnienie anioła,
Choćbym był w rozpaczy, to Twoje spojrzenie
Na usta uśmiech wywoła.

I chciałbym Ci nucić, lecz niknie me pienie,
Chwalić Cię nawet nie zdoła;
Bo w duszy méj świeci, tak jasno wspomnienie
Tych oczu i tego czoła;

Co to jak dwie gwiazdy błyszczą na obłoku,
Jak dwoje kochanków przy grobie.
Taż rzewność i czucie pali się w twém oku,
Taż wielkość rozlana jest w Tobie.
Że gdybym chciał kreślić cudowność widoku
To pióro pokruszył bym sobie.

IV.

DO NAUKI.

Czoło zwiędło przed czasem—usta lodem skrzepły,
A z serca? z serca węgiel spalony, zczerniały,
Marzenia się rozprysły—nadzieje ucickły —
A ja stoje jak widmo, jak trup skamieniały.—

Raz gdyś na mnie spojrzała, twe słowa mi rzekły
Że boleją; nieszczęsna! twe słowa kłamały!
Pamiętasz gdy mą duszę trawił płomień wściekły
Przysięgały, a późniéj przysięgi złamały.

Przeklęty! kto fałsz głosi bluźnierczemi słowy!
Ale stokroć przeklęty! kto fałszu usłucha
Kto takiemu zwierzęciu, nie rozwali głowy
I w sidła się uplącze, jakby na lep mucha.
Bo na cóż tu to serce, ten rozum, te mowy,
Kiedy rozum znikczemniał, w sercu bezdnia głucha —

V.

Poezyo ty moja kochanko!
Ty córo Boskiego natchnienia!
Przykuta do ziemi mięszkanko!
Niech słysze głos twojego brzmienia.

Ty wielka gieniuszów poddanko!
Co Bóstwa odbijasz odcienia.
Wśród nocy rozbijasz dnia ranko,
Tyś jest symbolem zbawienia.

Bajron na czarném niebie, jakby gwiazda lśniąca
Zabłysł—i wiecznie świeci—nieśmiertelność w darze
Bóg przeznaczył poetom— bo pieśń ich gorąca
Wypływa z piersi Boskich—dla ludów w ofiarze.—

VI.

DO JUSTYNKI.

O niewierz luba, choć płoną źrenice
Chociaż w mém czole, czytasz tajemnice
A w sercu myślisz, że znajdziesz skarbnice
Niewierz tym znakom; to światła zwodnicze.

O niewierz luba, chociaż bym Cię chwalił
Młoda gołąbko — mój żar by Cię spalił
Twój święty uśmiech by Cię nie ocalił,
Znowu bym może, nowy grób odwalił.

Aniele! odwróć oczy. od potępionego—
Na mojém czole; zguby piętno świeci—
O nie żądaj miłości od serca mojego,
Ono nie umié gubić, takich jak ty dzieci.—
A twe luba spojrzenie, taki ogień nieci
Że boję się, o boję pożaru nowego.

VII.

DO
M. S.

—

Był czas gdzie laur chwały, był całém marzeniem,
A jednym listkiem jego uwieńczywszy czoło;
Już nie miałem mieć życzeń, a rodzinne sioło
Miało być dla mnie rajem, cierpień zapomnieniem.

I sądziłem w méj dumie zapaleniec młody,
Że żary mego serca praca uspokoi.—
Myślałem, żem już stanął u rajskich podwoi.
Kędy jest przystań szczęścia, dzień wiecznéj pogody.

Ciebiem poznał, świat ułud, rozprysł się w przestworze—
Bo to szczęście; com marzył, za deską grobową;
Ujrzałem na twém czole—pogodném jak zorze,
A dwie gwiazdy, co świecą, nad mą biédną głową
Są twe oczy, o luba—a w nich jest to morze
Rozkoszy nieprzebranych—jakże blade słowa.

VIII.

DO
BOĆHDANKA.

—

O dziecię lube—jak to słodkie mleko
Co ci pierś matki daje go obficie,
Tak dni twe miło, wśród zabawek cieką
Jak motyl w maju—pędzisz dotąd życie.

O baw się dziecię—przed południa spieką
Najpiękniejsze są chłody—najpiękniejsze życie
A niedługo przed tobą, te cienie ucieką,
A ty będziesz je gonił; wzdychał do nich skrycie.

O dziecię moje—niech twa pierś stwardnieje
Bo rękawica do walki rzucona
Odwróć od siebie zwodnicze nadzieje
Ten tylko wielki kto siebie pokona,
Kto myśl swą zwróci, na ludzkości dzieje
I święty będzie, choć na krzyżu skona.

IX.

O straszne to! straszne te chwile,
Gdy lodem twe serce zastudzą;
Marzenia nam płyną tak mile,
A późniéj z ich łona cię zbudzą.—

Za miłość gdy wzgardę ci dadzą.—
Twe młode uczucia zamrożą;
I z samym cię sobą powadzą
I w serce zwątpienie podłożą.

Szalony! bo czegóż pragnąłeś od świata?
Miłości? swobody? wesela?
I za co? czy za to, że brata
Imię z tobą człek podziela?

X.

Ty mnie zrozumiesz, a więc ci zanucę,
Nie piosnkę dzwięczną miękiemi tonami,
Jam je pożegnał, ale śpiew mój zwrócę
Ku pieśni piekieł, zawtórzę z piekłami.

Może mą pieśnią kogo z snu ocucę,
Natchnę go życiem, poruszę dźwiękami,
Może mym jękiem jéj szczęście zakłuce
Może jéj oko napełni się łzami.

Taka łza w oku mądrém, gdy ona ją zroni
Zagra w duszy wszystkiemi tonami wesela
Ona przepali duszę—piekło jéj się skłoni.
Przesiąknie do stóp Boga, chociaż ją rozdziela
Cała wielkość stworzenia—a Bóg rzecze do niéj
Dziś jesteś córką smutku—bądź jutro wesela.

XI.

Co po dumce? co po śpiewie?
Gdy nuci bluznierca.—
Co po krasnéj, chożéj dziewie;
Kiedy jest bez serca.

Pieśń choć zabrzmi i ogłuszy
Lecz z wiatrem przeminie;
Taka dziewa, choć cię wzruszy,
Miłość w pierś nie wpłynie.

Ale kiedy w pieśni tonie
Myśl twórcza zawrzeje.—
I cel wskaże, to nie tonie,
Lecz w piersi nabrzmieje.
Taka piosnka, i po zgonie
Jeszcze pierśi grzeje.

XII.

Jéj oko modre, jak fale wody,
Żywe jak polot sokoła,—
Nad kiém zawiśnie; żegnaj swobody
I marzeń młodzieńczych koła.

O bo téż takéj drugiéj urody
Nigdzie nie spotkasz do koła.—
Niech serce będzie zimne jak lody,
Ona w war zmienić je zdoła.

Będziesz ją kochał, będziesz przeklinał,
Drżał na przelotne spojrzenie,—
Będziesz się w mowie, przy niéj zacinał
W snach będziesz słyszał jéj tchnienie.—
Będziesz z pokorą kolano zginał
Błagał o jedno wspomnienie.

XIII.

Czasem kiedy słońce płonie,
Zefir z kwiatkiem, pączek kłuci,
Słowik buja na łąk łonie,
Ziemia piosnkę churem nuci.—

Gdy w tém—w jednym strasznym tonie,
Zgrzytnie niebo—piorun rzuci,—
Obłok krasną wstęgą spłonie,
Ziemia kwileń arfę rzuci.

Kiedy w młodości, w swéj duszy,
Kwiatem stroisz życia steczki,
A w tém spiekłéj doznasz suszy
Co popali kwiat listeczki.
O! kto doznał téj posuszy
Świat mu wrogiem, jak czart duszy.

XIV.

Kiedy myśl twoja, uderzy o skałe,
A skrzydła ducha, zamieć pogruchota,
Gdy serce twoje zabije zwątpiałe,
O! wtenczas śilną winna być twa cnota.—

Myśl nie ugięta—a twe cele śmiałe —
Niechaj umacnia niebieska ochota,
Miłość ludzkości,—która stwarza chwałe —
Nieśmiertelności otwiera ci wrota.

Wolo ma! silna jak olbrzyma ramie
Uzbrój pierś moją z żelaza puklerzem
A jeśli serce odwagą ci skłamie,
To duch cię wzmocni potrujném przymierzem,
Co Bóg dał silnym—jako chwały znamie
Wiarą w swe siły—miłością—pacierzem.

XV.

ZROZPACZONY.

Świat! śmieszne imię—puszek w chaośie stworzenia,
I ileż tu farb błyszczy, ile tonów płynie;
I dlatego to pono, głos rozpaczy ginie
Bez oddźwięku—rozkoszy zagłuszą go pienia.

I ja się z nich rozśmieje—jak czart w dzień zniszczenia
Dumny ogromem zbrodni—na świata ruinie.—
I ja kiedyś płakałem przy mojéj Alinie
A dziś chciałbym ją przekląć—zniszczyć cień od cienia.

Ach wspomnienia! wspomnienia! przeklęte wspomnienia,
Szczęśliwy kto was niema — kto przyszłością żyje,
Szczęśliwy! z pełnéj czary wyobraźni pije,
A jeśli spojrzy w przeszłość—to ją rozpłomienia
Jedną myślą na przyszłość — nadzieją zbawienia —
Znów szczęśliwy— znów żyje—pókąd serce żyje.

XVI.

SIŁA WOLI.

Ogień w piersiach—na oku łzy się lodem ścięły
Obojętność na czole—dusza piekłem wrzała —
Milczeć — gdy twoje słowa, lawą by płynęły
I cierpieć jakby klątwa nad tobą ciężała.

I widzieć jak jéj oko—z jego się spotkało,
Jak pod jego spojrzeniem radośnie zadrżała.
O! bo do mnie to nawet słowo doleciało
Co tylko w myśli zabrzmiało.—

A jednak ja milczałem—choć czułem dość siły
Żebym go w proch—w zimnego trupa—zmienić zdołał.
Szalone jak ja myśli, w méj głowie się wiły
A głos jakiś rozpacznie do duszy mi wołał
Zabij go! i ją także! uczyń dwie mogiły
I już miałem uderzyć —łzy oko zaćmiły.—

XVII.

DO
BOCHDANKA.

Bochdanku! ty w téj chwili, gdy o twéj przyszłości
Kłopotliwa myśl moja, pali wrzące czoło,
Ty w téj chwili bawisz się, pełen niewinności
I do świata rączęta, wyciągasz wesoło.

Ogień złapiesz me dziecię, cofnij swoje dłonie —
On serce twoje spali, i odymi wiarę —
Przeszłość twego dzieciństwa, w pomroku utonie
A ty najświętsze czucia, skażesz na ofiarę.

Zaprzesz się samo siebie, moje drogie dziecię,
Gdy świat ten, zimno przyjmie twoje wrzące chęci,
Gdy tam gdzieś widział złoto — ujrzysz brudne śmiecie;
O! wtenczas ci dzieciństwo stanie na pamięci
I choć z niego opadło najpiękniejsze kwiecie,
Ty go zachowaj w duszy, a Bóg go uświęci.

XVIII.

Gdym książkę brał do ręki, zwilżona źrenica
Wielkiego Mistrza myśli z zapałem badała,
A dusza ma młodzieńcza, jak czysta krynica,
Wszystko co wzniosłe, wielkie, w sobie odbijała.

Wiaro! ty jak nadobna! niestała dziewica (*)
Pierwszaś mnie opuściła, a dusza zbolała
Nawet w cnocie widziała zdradzieckie oblicza
Samotna pośród ludzi, w świecie się błąkała.

(*) Rozumie się wiara w złudzenia.

Wiaro! raz jeszcze tylko, raz niech pierś zapłonie,
Raz tylko jeszcze jeden zagość w moim łonie,
A znów powróci siła, znów ujrzę to błonie
Roskoszne! czarodziejskie — młodości mamidło
Krepą związane — znowu rozwinie się skrzydło
Z grobu wstanę do walki — jak upiór — straszydło.

DO

SIEBIE.

Śmiało mój Janie
Porzuć wachanie.
Za celem — gwiazdą życia goń.
Nie kierój drogi
Gdzie żywot błogi
Miękości najwięcej się chroń.

Nie wola nieba
By cierpieć trzeba
I jęczyć pod losu ciosem.
Mały kto klęka,
W niedoli stęka
A śmiało nie walczy z losem.

Bo męża skronie
Niech ogniem płonie,
Ogniem poświęceń i sławy,
Choć zranion srodze,
Legnie na drodze,
To legnie jako mąż prawy.

I chimn mu święty
W niebie poczęty
Zanucą ziemskie anioły.
Zamieć rozmiecie
Rozkosz po świecie
Ty walcz — cierp — i bądź wesoły.

Dnia 21 Lipca 1854 r. — Radom.

FANTAZYA.

Drgająca powieka zapada na oko,
Strudzone nie łzami broń Boże,
Poglądem gdzieś nadal wysoko! wysoko!
Gdzieś w kraje gdzie nie był nikt może.

A jednak iluż tam wędrowców pośpiesza,
Przeczuciem wiedzionych w tę stronę,
I myśli w swéj dumie, szalona ta rzesza,
Że wejdzie za świętą zasłonę.

Gdy młodość kwiatami ubarwi ci skronie,
Nadzieje gdzieś wskaże w oddali,
To serce nieznaném uczuciem zapłonie,
Co wiecznie i pali, i pali.

Choć uśmiech skłamany zabłyśnie na oku,
A z piersi wesołość wypłynie:
Poigra i zniknie jak anioł w obłoku,
Wesołość skłamana przeminie.

I gonie, i gonie za szczęścia widziadłem!
Lecz wkrótce i bieg mój utracę.
Złamany cierpieniem, na siłach upadłem;
I czémże za szczęście zapłacę.

O! kiedyś to mogłem, i serce dać w darze,
I młode, i wrzące swą siłą;
Miłości, przyjaźni, stawiałem ołtarze,
Jak jedno, tak drugie zdradziło.

Przekląłem świat cały — przekląłem i siebie.
W mém sercu piekło stworzyłem;
Zapomniał o Bogu — zapomniał o niebie,
Bogu i ludziom bluźniłem.

Mówiła, ja słowom wierzyłem szalony,
Tyś mój, ja twoja do zgonu,
Ach czemuż w ten moment nie zdarłem zasłony,
I nie przyśpieszyłem skonu.

Widziałbym z rozkoszą niebieskie jéj oczy,
W skrwawiony szkielet utkwione;
I zimna ma ręka jéj kibić otoczy,
Przyciśnie usta spragnione.

Niech będzie tak zimna, jak morza łożysko,
Jak lody na górach Mogoła,
W méj piersi żarzy się Wulkanu ognisko,
I lody w war zmienić podoła.

Lub chciałbym anioła — skrzydłami odziany
Bujać z nią po niebie chwilę,
I wzlecić w kraj szczęścia dotąd mi nie znany,
Co duszę przywabia tak mile,
O pomnę! o pomnę! tę chwilę jedyną,
Gdym w ziemskiém niebie żeglował,
Gdy w moich rozmowach zwałem ją Aliną,
Każde jéj tchnienie całował.

Dziś z zimnym uśmiechem, na ustach odpowie,
Ja konam, ona się śmieje.
I czucie straciłem — jednak się nie dowie,
Że dla niéj wiecznie szaleje.
I dumny cierpieniem nie zegnę kolana,
I dam zwycięztwo méj dumie.
Choć słaby na siłach. choć dusza stargana,
Przy niéj jęk, zawsze przytłumię.

Czy znacie co to jest uchylić kolano
Gdy myśl twa po niebie wiruje?
Niektórzy czujecie — lecz jeszcze za rano
By wszyscy — to duch mój zgaduje.
I milczę jak skała, jak deska grobowa,
Bo obce me jęki dla świata;
I na cóż mam rzucać, rozpaczliwe słowa,
Gdy za nie litością zapłata.

Ja niechce litości! nikczemni kuglarze,
Niech cieszą, tak małych jak sami.
Ja rozkosz znajdóję, nawet w téj ofiarze
Co mémi oblewam ją łzami.

Wydarłem z méj piersi co tylko woniało,
I w głębi tam zemstę zasiałem,
I krwią ją podlewam, zbutwiałą, zczerniałą
I rękę jéj władzy poddałem.

FANTAZYA.

Nieszczęsny! na co pióro schwyciłem do ręki,
Lepiéj drzemać z innymi, myśl do snu nakłonić,
Lepiéj porwać bardony — niech umilkną dzwięki,
Niźli gdzieś — gdzieś za niebem, myślą swoją gonić.
Myśl nie strudzi swych skrzydeł, mnie skrzydeł nie trzeba
Mnie dosyć śiły woli, i kropli natchnienia.
Wtenczas myśl ma swobodna staje u bram nieba,
I u stóp Boga bada tajniki istnienia.
Och bo Świat wtenczas widzę, w tak pięknym bukiecie,
W tak majowém ubraniu — w tak cudnéj osłonie,
Wszędzie wiosna, i życie obarwione w kwiecie,
Wtenczas myśl moja igra — serce siłą płonie.
Siłą wam niedostępną, świętą, twórczą siłą
Jaką górą wybrani — w chwilach zachwycenia.
Jaką ażeby uczuć trzeba być nie bryłą.
Lecz mężem napełnionym myślą poświęcenia;
I ogarnąć swym duchem, wszech światy na okół,
I czuć jak w twojéj dłoni, martwieją skośniałe,
I rzucić piorun w myśli — lub wznieść się jak sokół,
Gdzie tylko myśl dosięże — duchy krążą śmiałe

Gdzie ja bywam — gdziem słyszał anielską melodją,
Gdziem widział córę nieba — wyraz w ciało skryty,
Ciało w życie przybrane — gdzie duchy się modlą
Modlitwą wielką, świętą, modlitwą kobiety.
Czemóż nie miałem pęzla, by schwycić to znamie
Co na twém piękném czole — jak gwiazda świeciło
Symbol twórczéj piękności, co gniew Boga łamie,
Co wtenczas jakby laur, twe czoło owiło.
Co mi niebo otwarło — pchnęło w szczęścia kraje,
I tak jasno świeciło gwiazdą, twego oka;
A dziś, na to wspomnienie; łza pod rzęsą staje,
Jam tak zmalał przy tobie — a ty dziś tak wysoka,
Tak święta swą wielkością — że czcić Cię w oddali,
Ledwie lękliwe serce ośmielić się zdoła.
I duch mój, tak jak bóstwo, z daleka Cię chwali,
I przed piérwszą śmiertelną dziś uchyla czoła —
Kochać Cię — to za mało — to czucie wystarczy
Tym, co więcéj brać zwykli, niźli sami dają,
Co wśród piérwszéj młodości są wystygłe starcy,
Co struny życia nigdy w piersiach im nie grają.
Dla mnie mało jest kochać — czucie pierś rozsadza,
Serce szalenie tańczy, jakby obłąkane,
Tyś moja jest na wieki — piekło mi zawadzi,
To i piekło zabaczę, u stóp mych stargane.
Ale gdzieżem szalony — puścił myślom wodze,
Tyś tak dobra — darujesz chwili uniesienia,
I tak już wiele cierpię — boleję tak srodze,
Że swym gniewem, nie zwiększysz mojego cierpienia.
A potem kiedy lata dalekie upłyną
Wśród szczęścia co zapewne otoczy Cię w koło,
Z raz wspomnij że jest oko — z którego łzy płyną,
I choć na pół sekundy, zachmurz swoje czoło.

FANTAZYA.

—

Ach przecieżm zrucił maskę, co tak pierś przygniata,
Przecież oddycham wolno — jak trupy w mogile,
To jestem sam przed sobą — bo tam twarz dla świata,
Trzeba stroić — i w męce wszystkie pędzić chwile.
I kłamać swoją twarzą — kłamać uczuciami,
Cierpieć jak opętany, a śmiać się dla ludzi,
Wszystkie swoje nadzieje, widzieć marzeniami,
To i w duszy zamarznie — cierpienie się strudzi.
Widzieć ciebie aniele, ze smutkiem na czole,
Domyślać się łez twoich, łez anielskiéj duszy,
Ach tysiąc razy, męki piekła ponieść wolę,
Niźli raz doznać w życiu podobnéj katuszy.
Och! bo łza każda twoja, ogniem dusze strawia,
Okupiłbym ją życiem — szczęściem całém może!
Bo ona, jak nóż zbójcy, pierś nagą rozkrwawia;
Lecz nóż zbójcy raz kończy, a ona nie może.
Och gdybym raz mógł skonać — raz podnieść całuna,
I żyć przy tobie wiecznie, w twéj ojczyznie.
Jednę cię zawsze widzieć;
Twoją dłoń trzymać w mojéj; usty wpić się w ciebie.
Śmierć by mi była szczęściem, posłaniczką Bożą,
Bo widzieć cię nie swoją — ty nie jesteś wstanie,
Nawet objąć tych męczarń — co się w duszy tworzą
Alino! znasz ty wieczne, przeciągłe konanie?
Kiedy myśl moją cofnę — a często to czynię,
I odnowię w méj duszy przeszłości obrazy,
I zobaczę w ich ramach wesołą Alinę,
Wtedy wpadam w szaleństwo — gorsze milijon razy,

Niźli przykuty Tantal — nieszczęśliwy Tasso.
Cierpię, szatańsko cierpię, krwi pragnę i noża,
W swéj piersi bym go utkwił z piekielną rozkoszą,
Ale jeszcze nie taka widać wola Boża.
Cierpię gdy smutek widzę, na twém jasném czole,
Cierpię kiedy wesołość zabłyszczy w twém oku,
Lecz stokroć jeszcze większe, wtenczas czuję bóle.
Kiedy ty jesteś przy nim — on przy twoim boku.

DO

I. Kraszewskiego.

Witam Cię wielki Synu — Nad-Niemeńskich brzegów!
Coś je tyle ukochał — tak cudnie ustroił
W takie piękne postacie — coś tyle szeregów
Wojsk Litewskich, Kiejstutów, Olgierdów uzbroił;
Narzucił im szłyk twardy — i powołał z grobu
Jako świadków wielkości swojego narodu.
Witam Cię — cześć Ci niosę — siéj daléj nasiona,
Co się tak dzielnie krzewią, na ubogiéj ziemi,
Która ci tyle winna. Głos zawiści kona,
A laur kwiat cierpienia, twoją skroń ocieni.
Cześć Ci niosę, i żegnam wajdeloto młody,
Żyw świętą iskrę; niezgasłą w swém łonie,
Ona na Boskie wprowadzi Cię gody,
Nieśmiertelnością otoczy Twe skronie.

Do P.

Prędko znika czas uroczy,
Oko kiedyś śmierć zaciśnie,
Lecz kto spotkał raz Twe oczy,
Już mu gwiazda szczęścia błyśnie.
Nieszczęśliwy ten jednak, kto w nie patrzéć lubi,
A nie wie że gdy patrzy — na wieki się gubi.

Dnia 9 Lutego 1842 r.

DO *

Chciałbym ci wiecznie wesołą pieśń nucić,
Wróżyć Ci przyszłość, szczęśliwą i trwałą,
Gdyby mnie smutek na chwilę chciał rzucić,
I gdyby pióro chęci usłuchało.
Smutno to! smutno! moja siostro droga,
Zawsze s[illegible] jękiem przypominać siebie.
W radości widzieć zawsze swego wroga.
I myśléć tylko, że gdzieś, może w niebie.
Szczęście się do mnie z nienacka rozśmieje. —
Może mnie ona — tak czule kochana,
Drugi raz rzuci — drugi raz wyśmieje;
A ja, drugi raz, z wściekłością szatana,

W świat się znów rzucę — i tę resztkę życia,
Com ją uchronił przed chuci pożarem,
Co tak nurtował po duszy méj wściekle,
Zniszczę, przepalę w duszy mojéj piekle. —
Ty wiesz jak święcie ja ją ukochałem,
Ty wiesz dla czego blade moje lica.
Przy tobie nie raz, jak dziecko płakałem,
A dzisiaj siostro! dziś moja źrenica
Już sucha — gdyby ogień przygasł chwile,
Co siły życia tak strawia powoli,
Co tak powolnie zbliża ku mogile,
Co tak rozdrażnia, co tak w sercu boli.
Wtenczas-bym pieśni wesołe ci nucił,
W jéj oku czerpał natchnienia potoki.
Wtenczas-bym szczęście. znów w piersiach oczucił,
Znów świat-bym kochał, ludzi i obłoki.
A ludzie znowu w zamian méj miłości,
W zamian łez krwawych, przecierpianych nocy,
Daliby wypić kielich swoich złości
A tu ten robak, co tak w piersi toczy,
Co tak rozrywa, tak targa wnętrzności.
Sam wiecznie żyje, nawet bez ich złości.
Marjo! jam w tobie znalazł mego drucha,
I tyś cierpiała — a więc znasz cierpienie.
A ten kto cierpi, za wielkość swą ducha.
Ten pewno większe — bo Boskie stworzenie
Jak Ci tu ludzie — pełzający — mali,
Co z piersi matki nikczemność wyssali.

Krzysztof Swięty.

(Z UST GMINU)

LEGENDA.

—

Wieki biegą jako dzień zimowy,
Dnie mijają, jako mgła wiosenna.
Naród ginie, i powstaje nowy,
Tylko wielkość Twórcy, jest nie zmienna.

Sto lat wieku, długi zdaje się czas,
Bo jeden zegar wieczności go mierzy.
Sto lat wieku, nie należy do nas,
Strawi i najsilniejszych szermierzy.

A jednak tysiąc pięćset temu lat,
Jak żył na świecie Oferusz olbrzym;
Co w jednym palcu, swéj rękawicy,
Wyprawiał gody swojéj siostrzycy.

A kiedy matka jego umarła,
Chcąc jéj usypać dużą mogiłę,
W swój but wziął ziemi, potrząsnął ciało,
A miejsce zkąd wziął, bezdnią się stało.

Nad zwłoki matki, wzniosła się góra,
A grzbietem swoim sięgała nieba.
Na niéj-to usiadł olbrzym stroskany,
I łzami skropił grób ukochany.

A łzy boleści, to gorycz sama,
Szeroką rzeką, w przepaść spływały.
Wodą zalały przepaść obficie,
Dla czego gorzką, sami widzicie.

Olbrzym ze smutkiem rzucił ustronie,
Kędе swe kroki stawiał dziecięce.
I szedł w świat szukać. takiego pana,
Coby przed nikiém nie giął kolana.

Jemu chciał służby poświęcić swoje.—
Potęga tylko zchołduje dumę.—
Chciał znaleść pana, jak świat wielkiego,
Coby nie było jemu równego.

Oferus rady usłuchał ludzi,
Udał się na dwór wielkiego pana.
Pan był potężny, niezgięty, śmiały,
Przed gniewem jego, milijony drżały.

Oferus służbę przyniósł mu w dani,
Pan mile przyjął chęci olbrzyma,
Zrobił go piérwszym między sług wiela,
I chciał z olbrzyma mieć przyjaciela.

Jednego razu w szumnéj biesiadzie,
Jeden z dworaków rozgrzany winem,
Wymówił imie djabła przy stole;
A pan znak krzyża złożył na czole.

Czemuś to zrobił? olbrzym zapyta,
Co ten znak znaczy na twojém czole?
„Boję się djabła" rzekł pan, „w potrzebie,
„Znakiem tym, jego straszę od siebie."

„Kiedy się boisz djabła mój panie,
„Więc jesteś słabszy — on rządzi tobą;
„Ja nie chcę służby przyjąć u pana,
„Co przedkimkolwiek zgina kolana.

„Opuszczam panie twoje pałace. —
„Największy tylko może mną rządzić. —
„Idę więc szukać djabła na świecie,
„On się nikogo nie lęka przecie.

I szedł więc długą puszczą wśród lasu,
Czarną i ciemną jak otchłań piekła.
I spotkał rotę czarnych rycerzy,
Z rogami w głowie, sierść im się jeży.

Szpony przy palcach, a w ręku widły,
Najstarszy z tłumu, siedział wśród zgrai,
Na tronie z czaszek, i ludzkich kości.
Ten na olbrzyma krzyknął ze złości.

„Czego tu szukasz wielki olbrzymie,
„Kto ci wejść w państwo moje dozwolił."
— „Ja szukam djabła i jego drużby,
„Abym mu moje poświęcił służby."

— „Ja jestem djabeł, rzekł król rycerzy,
„Masz rękę moją na znak przyjaźni."
Oferus swoją nawzajem dał.
I odtąd murem przy djable stał.

Razu jednego djabeł ze swemi,
Wielkim gościńcem, szedł na wyprawę.
A gdy się zwrócił na prawą rękę,
Ujrzał krzyż wbity, i bożą mękę.

Zadrżał z przestrachu rogaty wódz.
Na odwrót kazał trąbić czém prędzéj.
„Czemuś to zrobił? olbrzym zapyta,
„Czemu strach jakiś, za piers cię chwyta?

„Ten krzyż jest znakiem męki Chrystusa,
„Jegom widokiem tak się przeraził."—
— „Gdy się Chrystusa boisz mój panie,
„Oferus przy twym boku nie stanie.

„Opuszczam djable twoje szeregi,
„I idę szukać w świecie Chrystusa."
I szedł przez puszcze, kamienie, wały,
Aż w końcu domek napotkał mały.

A w nim pustelnik jak gołąb' siwy,
Na klęczkach wznosił modły do nieba.
„Kędy jest Chrystus? powiedz mi człecze?"
— „Wszędzie gdzie spojrzysz, starzec odrzecze."

— „Jakże mu służyć? Orfus zapyta."
— „Mój synu módl się, i pracuj szczerze."
Modlić się olbrzym nie miał w pamięci,
Ale pracować miał szczere chęci.

Szedł więc za starcem, nad bystrą rzekę,
Pianą okryte szumiały wały.
Tu stanął starzec, i rzekł ze smutkiem:
„Nie każdy walczy z pomyślnym skutkiem.

„Na téj przeprawie każdy podróżny,
„Porwany prądem tonie w głębinie,
„Stój więc w tém miejscu i przenoś braci,
„Chrystus ci kiedyś za to zapłaci."

Orfus przenosił dzień, noc, podróżnych,
Ogromną sosnę wyrwał za laskę,
I pełnił służbę w imie Chrystusa,
Szczęściem nieznaném wrzała mu dusza.

Gdy pewnéj nocy pracą strudzony,
Głęboko zasnął nad brzegiem rzeki:
W tém głos się dziecka trzykroć odzywa,
I po imieniu Orfusa wzywa.

Olbrzym się porwał ze snu ockniony,
Dziecię na barkach swoich umieścił.
I śmiało wkroczył w wody głębiny,
Na proste słowa małéj dzieciny.

Woda, co dawniéj po pas sięgała,
Raptem wezbrała po usta same.
Dziecię ciężało, jakby niósł skałę,
Choć dziecię było wątłe i małe.

„Jakieś ty ciężkie, o małe dziecię,
„Jakbym świat dźwigał na swém ramieniu.“—
„Ty dźwigasz świata stwórcę na sobie,
„Ja jestem Chrystus, błogosławię tobie.

„I chrzczę cię w imię Ojca mego z nieba,
„I w imie moje, i ducha świętego.
„Krysztofem zwę cię, boś piastował Boga,
„Idź w świat nauczac, a nie znaj co trwoga.“

I długo Krysztof nauczał po świecie,
Aż gdzieś w dalekiéj, pogańskiéj krainie,
Tłum bałwochwalców napadł na świętego,
I kamieniami zabił niewinnego.

WYJĄTKI
Z POEMATU
SZALONY.

I.

. . . . A Bóg weźmie szale,
I mnie, lub was potępi; lecz prędzéj mnie może,
Bom czasami na ludzi przeklęstwami ciskał;
Wam modlitwy na ustach, — żyjecie w pokorze, —
W czołganiu, albo dumie. — A mnie świat uciskał.
Gdy myśl moja wzlatała, do ojczyzny ducha,
Do nieba — albo piekła — żyłem — znów konałem,
Tysiąc szatańskich tonów wpływało do ucha,
A ja raz piosnkę niebu, znów piekłu śpiewałem.

II.

Szymon.

(Do księdza).

Przystąp, przystąp tu Ojcze! otwórz piersi moje!
Albo nie — tybyś zadrżał na widok téj blizny.
O bo takich widoków, obce oczy twoje,
Tyś nie widział téj rany; chociaż już siwizny
Wieńcem twa głowa kwitnie — słuchaj — masz odwagę
Swoim wzrokiem zasięgnąć w tajnie mojéj duszy?
I zejść pomiędzy trupy, spalone, szczerniałe,
Pomiędzy widma uczuć?. . .

III.

Ksiądz.

Synu miéj nadzieje.

Szymon.

To dla was! ja z niéj, i z was już dawno się śmieje!
O ja kiedyś błądziłem po marzeń błękicie!
I nie tak jak wy — nie tak nadziei szukałem,
Bom ją sam umiał stworzyć, i oddałem życie,
Dwom jędzom, co mą duszę, na przemian targały,
Co wszystkie struny serca, wzruszyły do śpiewu,
Co w tysiące kolorów, kwiat życia ubrały,
I uchyliły czoła, wyniosłemu drzewu.
Co do raju wznosiły, znów grzęzły w otchłani,
I raz do mego nieba, pukali anieli,
W białe szaty, niewinnej swobody odziani,
Jakby mnie z sobą unieść — w nią przystroić chcieli.
Znów wicher wściekle zawył, i na marzeń progu,
Stało widmo wybladłe, z wklęsłemi oczyma.
Ach! wtenczas zapomniałem, o niebie i Bogu,
Bom w niém widział zabujczy, wzrok brata Kaima;
I te bratnie postacie z sobą się zmierzyły,
Och! okropna to walka! ja czułem jéj razy,
Słyszałem jęk aniołów — a szatany wyły.
Co cierpiałem — by mówić — za blade wyrazy.
A jam widział ich walkę — i klaskałem w dłonie,
By żar ich nie wystygał, gardziłem cierpieniem
Całego mego życia; byleby me skronie,
Kiedyś otoczył laur; — byleby me pienie,
Zawrzalo w sercu Ludów, — nie pieśnią dziecięcą —
Lecz śpiewem harmonijném — cudnym — męzkim tonem.

IV.

Ty księże tam nie będziesz — bo nie dość pacierzy
I wiary, i słów gładkich, i ducha prostoty.
Za prawdę Ci powiadam; że ten który wierzy
A nie czyni — winniejszy niż kat z pod Galgoty.

V.

. . . . Alem ja szalony,
Ciebie się pytać o to — ten kto raz umiera
Sercem światu — o jego już dzieje nie pyta.
A cóż ten, który nigdy nie żył, nie czuł życia,
Dla niego jest tak obcą — tak małą kobieta
Jak oręż połamany — lub czara rozbita.
Bo kto patrząc na kwiaty, tylko barwę widzi,
Kto ospałych swych oczu, nigdy nie otworzy,
Kto z wielkich uczuć, myśli, czynów ducha szydzi,
Ten nie śpi, niech śpi wiecznie, — bo gdy się obudzi,
To go blask światła olśni, będzie wzgardą ludzi.

WYJĄTKI

z poematu

Żarucki i Maryna Mniszkówna.

I.

Tak w około okropnie, tak pusto, unyło,
Jak w piersi, gdy smutek ją gniecie
W oddali gdzieś w puszczy, dwóch wilków zawyło,
To piosnka miłosna kobiecie.

Wzruszony ich głosem i puszczyk zachuczał,
I wiatry grać piosnkę zaczęły,
I bystry prąd wody, w łożysku zamruczał,
A drzewa ku ziemi się gięły.
I tętent kopyta końskiego dolata,
I wspólną pieśń, wiatrom wtoróje,
A tuman kurzawy, na stepie się zmiata,
Jak widmo po stepie, się snuje.
I orła polotem po stepie pomyka
Młodzieniec na rudym biegunie,
Jak widmo w tartarze, raz błyśnie, znów znika,
O! prędzéj nie lecisz piorunie.
Koń ścigły jak myśli młodego poety,
Jak polot jaskułki, nad wodą;
Tak lotny, jak uśmiech nadobnéj kobiety,
Gdy wzrok jéj zawiśnie nad tobą—
A w oku młodziana, to płomień—to burza—
Łza płomień ugasza—znów wskrzesza—
A ręka na szabli—a czoło zachmurza,—
A konia bez miary przyśpiesza.—
I któż-to tak z wiatrem puścił się w przegony?
Czy czarci, charcują po błoniu?
Czy młody poeta, ze swemi bardony
Marzenia ugania na koniu?
Lub może rozpaczą kochanek okryty?
Ucieka przed wspomnień chmurami?
Lub farys zwiedziwszy niebieskie błękity?
Na ziemię spadł ze mgły rosami?
I błonia znikały, i błysnął krzyż wieży.
Kaługa się wiankiem odkryła;
I Sidor poprawił, swój ubior nie świeży,
I pędził do zamku co siła.

II.

Uderzył w trąbę strażnik — Sidor dopadł bramy,
I nim most mu spuścili, on fose przesadził,
Koń zarżał z lekka, z cicha—i padł wyczerpany.—
Sidor pot otarł z czoła, wąs czarny pogładził.
Sełdecz otrząsnął z kurzu, i na zamek kroczył.
Nikt mu nie wzbraniał przejścia.—Dymitr z łowów może
Przysłał go do Maryny, by wina utoczył
Najlepszego podczaszy, bo tam—w czarym borze—
Dymitr z swoją drużyną, pochula, pobawi
I Polacy daleko; Szujscy jeszcze daléj.
A Zarucki tuż przy nim—męstwo jego sławi
Sam nawet nieprzyjaciel, i Szwedzi go nie znali
Z jego stalowéj szaszki—i z oka co w burzy
Świeci jak błyskawica — i z ręku udaru,—
Z tego białego czoła, co gdy się zachmurzy
Nikt mu odbić nie zdoła,—i z tego pucharu,
Co go tylko Zarucki, jeden spełnić może,
I Dymitr ma sprosta, on co nie kielichem
Ale konwiami ściągał Bachusowe zboże,
A potém szedł w przegony, choćby z samym lichem;—
Lecz cóś innego świeci, na kozaka twarzy,
Nie o winie on myśli — już doszedł podwoi.
Cóż? czy przestąpić progu, dziś się nie odważy?
Rękę oparł na klamce, waha się, czy boi?—
Idź śmiało chrobry bracie; tam Maryna marzy,
Piękna z za Wisły róża, ale stój w oddali,
Bo ogień co się w modrych jéj oczętach rzaży.
Przejmie cię swym płomieniem, sarce twoje spali.

Nie patrz, nie patrz, w jéj oczy, wzrok zada ci bliznę,
Nie słysz brzmienia jéj głosu, bo głos jéj zabija,
Odrzuć precz o Niéj pamięć, bo przy Niéj Ojczyznę,
Zdolnyś nawet zapomnieć, — ten włos co owija,
Skronie takie, jak tęczy złączone kolory,—
Te czarne brwi nad okiem — brwi takie o Boże,
Są brwiami twéj kochanki, młodéj Aurory,
Tylko twoja kochanka, brew taką mieć może.—
Z tych krasnych, chożych ustek, ileż czucia płynie,
Niech go schwyci umarły, z życiem się pobrata,
A taka rzeka szczęścia, w piersi jego wpłynie,
Że niém żyć szumnie można do skończenia świata.—
Sidor uchwicił klamkę, znów zadrżał, — otworzył, —
Blada twarz więcéj zbladła,—szaszkę ściskał w dłoni—
Nie pewnym, — drżącym krokiem, — dwa ukłony złożył, —
Dziko zmierzył Marynę, — i tak mówił do niéj. —

III.

A Marya jakby drżąca osika wśród ciszy,
Co jeden pocałunek zefiru ją wzrusza,
Drży pod jego spojrzeniem, i głos jego słyszy,
Choć milczy od minuty, ale Maryi dusza,
Z duszą Rycerza cichą prowadzi rozmowę.
Tam zbytnie dla nich słowa, czyż w oka połysku,
W ściśnieniu drogiéj dłoni, nie napotka nowe
Światy? co tchną roskoszą, jak Maj powabami;
Jak Arabskie churysy swojemi oczami?
Maryjo! przecież nareszcie nasza gwiazda wschodzi,
Zbyt długo zasłoniona, czarną nawałnicą;
Ona nam wszystkie gorzkie, boleści nadgrodzi,
Znowa, jasne, pogodne, dni dla nas zaświecą;

Znowu będźiem jak dawniéj, łono przy twém łonie,
Usta na ustach spoczną — ręka znajdzie rękę —
Dech z twym tchem się połączy — oko w oku tonie; —
I wspólnie — w jednéj myśli, — złożymy podziękę,
Temu co nam boleści, i szczęście zgotował.—
Maryo! tyś dla mnie droga, jak drzewa w téj ziemi,
Kędy Don swe bałwany z takim szumem toczy.
Drogaś mi, jak... to... ptasze, com co raz ostatni
Widział wychodząc z ziemi rodzinnéj;
Pomnę każde jego piórko, każdy otcień skrzydełek.
Rodzice jego takim rzewnym, do mnie przemawiali głosem.
Z taką rozpaczą tłukli się u nóg moich,
Żem uwolnił czterech jego braci, piątego ze łzami w oczach,
Zatrzymałem dla mojéj Maryny siostry.
I nareszcie rzuciłem i Marynę i ptasze,
I moją dobrą starą matkę, —
I naszą pochyloną chatkę, —
I siwego na kuli bat'kę. —
I wszystko rzuciłem Maryo! dla sławy i dla wielkości.
Młodość moja kipiała, jak wrząca woda
W gorących źródłach Kaffy. —
Maryo! niech powiedzą Lachy,
Twoi współziomki — ilem stracił,
Żem czoła nie zgiął przed ich królem,
Raz tylko moja droga, raz zbłądziłem w drodze.

Żołkiewski, Nowodworski, Sapiecha, toż wodze,
Jakich ze czcią wspomina, nawet ich wróg dziki.
To imiona, na które drżą waleczne szyki,
Nawet moich bratyńców, kozaków od Dona.
Chodkiewicz mój pokrewny z dawna po kądzieli,
Z daleka słynął męztwem, toć my go widzieli,

Przecie nie w jednéj sprawie — i wielu tam jeszcze
Słynęło z swego męztwa i Spartańskiéj cnoty.
Tanio chciałem im sprzedać, mą rękę i głowę, —
Lecz jeszcze jeden korzeń widziałem u brzegu,
Na który chciałem rzucić, kotfice z okrętu,
By go wstrzymać w jego biegu,—
A on się strzaskał w otchłaniach odmętu;
Nie wypłynąwszy nawet na obszerne morze. —
Maryo! okropne to rozbitka życie!
Pragnąłem, pragnąłem skrycie,
Rzucić życie! stargać życie.
Lecz w twoich oczu błękicie,
Znowu nowem widział życie.
Znowu żyć pragnąłem skrycie.—
Nieszczęsny kto się biedzi, z swojemi myślami,
A nie panuje nad niemi; —
Nieszczęsny! stokroć nieszczęsny! mówię ci Maryo!

IV.

Tryumf wam prochy bogów, bohatyrów
Święte relikwie, i niepokalane
Popioły wielkich mężów, ich myśli i czyny, —
Co takie w koło jasne, promienie rzucały,
Co tyle nieszczęść wielkich, ale téż i chwały,
Przyniosły na swą krainę; —
Pozdrawiam was! ludy was czekają,
Nie zwiędły wieniec pamięci,
Od potomności uwity,
Otacza wasze trumny, otacza popioły. —
Witam cię bochaterze. . . . . . .

V.

Żarucki zdala, wiódł dzielne swe roty.
Gdy go wieść doszła, o lośie Maryny.—
O spojrzeć było, wtenczas w jasne czoło,
W brew nachmurzoną, zaciśnięte wargi,—
Zdumiali stali towarzysze w koło.
A on nie podniósł narzekań,—i skargi
Nie wyrzekł słowa —nie dał ręką znaku.—
Ale tak groźne miał, oko i lice;
Że krew jak wulkan, kipiała w kozaku.—
I jednem mgnieniem podnieśli szablice.
Z okrzykiem strasznym, okropnym się rwali;
I chociaż starsi roty szykowali,
Nic nie pomogło, ruszyli nawałem,
Ziemia jęczała pod kopytów brykiem.

Koniec.